ROK CZWARTY.

—

№ 13.

WARSZAWA

D. 15 (27) Marca

1859.

Niedziela

3cia postu.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię wszechmocny Boże, wejrzyj na śluby pokornych, a ku pomocy i obronie naszej prawicę majestatu Twego racz wyciągnąć. (Kollekta na Niedzielę trzecią postu).

Pociecha wiary.

—

W kwiateczki przybrana, w bieluchnej sukience,
Strudzona zbyt wcześnie ziemskich cierpień znojem,
Maleńka dziecina spoczywa w trumience,
A twarz jej anielskim jaśnieje pokojem.
A przy niej tuż matka, co łzami rzewnemi
W modlitwie pokrzepia słabnące swe siły,
Przed chwilą okropną, kiedy w łono ziemi
Położy swe dziecię do zimnej mogiły.
Ach! ona tak smutna, ból sercem jej targa,
Na twarzy jej wyraz cierpienia głęboki,
Na ustach zamarła przytłumiona skarga,
A wzrok jej wlepiony w ukochane zwłoki.
I słowa modlitwy z ust skąpo jej płyną,
Lecz częściej westchnienie z jej piersi uleci,
Westchnienie tęsknoty za lubą dzieciną,
Co tam już aniołka jasnem licem świeci.
Lecz zkądże to nagle matczyna twarz blada
Skraśniała odblaskiem nadziei promienia?
I czemu z jej oczu mniej gorzka łza spada,
Choć słuszny i ciężki jej powód cierpienia?
O! światło to wyższe nie z tego jest świata,
I święta to ulga, i słodka to łezka,
Bo duch jej pokorny w te strony ulata,
Zkąd płynie zdrój łaski i rozkosz niebieska;
Bo ona swym bólem oddaje hołd cnocie,
W proch czołem upadłszy pokorna i cicha,
Ujrzała Chrystusa w łzach i krwawym pocie,
Przed chwilą spełnienia swej męki kielicha.
I sercem za Jego podążając śladem,
Poznała, gdzie duch a najsilniejsza zbroja,
I padła na lice za mistrza przykładem,
I rzekła: o! Ojcze stań się wola twoja;
Tyś w Boskiej mądrości przewidział u siebie,
Że dziecię me drogie ma ścigać niedola,

I lepsze mieszkanie obrałeś mu w niebie;
Niech będzie stokrotnie wielbiona Twa wola.
O! lepiej mu pewnie z aniołów Twych gronem
Czystemi ustami wygłaszać Ci pienia,
Niż z cierniem zawodu, lub sercem skażonem
Przebywać wraz z nami ten padół cierpienia.
U Ciebie o Panie! jej teraz bezpiecznie,
Ból już jej nie dotknie u stóp Twego tronu,
Jak córka Jaira nie umarła wiecznie,
Lecz tylko snem zdjęta wśród ziemskiego zgonu.
I woli niebieskiej pokornem wspomnieniem
Zwalczywszy ten ciężar, co piersi jej gniecie,
Już matka mniej smutnem, choć łzawem spojrzeniem
Rzuciła na drogie, umarłe swe dziecię.
I w serca głębinie tą myślą się pieści,
Że smutne ją tylko uwodzą pozory,
Bo do jej kielicha matczynej boleści,
Spłynęła niebiańska kropelka pokory.
Jak Marta wyrzekła: o! wierzę Ci Panie!
Że chętnie ludzkości ukajasz cierpienia,
Że kiedyś dziecina ta zmartwychpowstanie,
Bo nie masz wiecznego dla dusz rozłączenia!

Niebieska wstążka.

W starej karczmie w puszczy za Ostrołęką, zegar uderzył czwartą z południa; gospodyni postawiła szklankę piwa przed podróżnym, siedzącym za stołem i spojrzała oknem na ciemny bór sosnowy, na chaty kurpiowskie rozsiane po dolinie, a gospodarz, stojąc przed kominem w drugim kącie obszernej izby, rozprawiał żywo z żydem i chłopami, ubranymi w sukmany z samodziału i w kapelusze plecione ze słomy. Podróżny słyszał urywane słowa: nie mogąc z nich sensu ułożyć; gdy w tem drzwi się otworzyły i weszła młoda kurpianka z koszykiem świeżych kwiatów.

Wszedłszy nieśmiało, dziewczyna obejrzała się po izbie i pozdrowiwszy pobożnie przytomnych, spytała:

— Czy nie kupi kto kwiatów?

Poczem odgarnęła długie pukle włosów, puszczone na ramiona zpod białej chustki, a podróżny ujrzał owe szlachetne, delikatne rysy kurpianek, pełne majestatycznej piękności, potwierdzającej mniemanie, że kurpie pochodzą od wielkich panów i książąt, wysyłanych niegdyś na wygnanie do puszczy. Dorodność ich zatarta nieco u mężczyzn przez czas, obyczaje, nadużycia, w kobietach przechowała się w całej swojej świetności.

Ale wróćmy do dziewczyny z koszykiem kwiatów, która zdejmując zakrywającą je chustkę, dodała:

— Myślałam, Franciszkowo, że jest dużo ludzi w gospodzie i że kto kupi na jutrzejszą uroczystość lewkonii lub róży.

Karczmarka wyjęła bukiet z koszyka.

— Gdzietam teraz dużo ludzi w gospodzie bywa... czasem przywlecze się jaki na kołach, a drugi przyjdzie z wsi i basta! Prześliczny bukiet! składny i pachnący, już to nikt nad ciebie Małgosiu piękniej nie ułoży kwiatów. Ale cóż się stało, że ty tak zakochana w kwiatach, przedajesz je dzisiaj? Wiem, żeś biedna sierota, żyjąca z wyrobku, że ci wielu rzeczy brakuje, lecz do tego jeszcze nigdy nie przyszło.

Dziewczyna zarumieniła się, a zmuszając usta do uśmiechu, szepnęła:

— Sprobowałam nowego zarobku. Wiesz Franciszkowo, jak wielka jutro uroczystość we wsi i w kościele; wszystkie dziewczęta występują do niesienia chorągwi i obrazów w nowych gorsetach i spódnicach, ja nie mam gorsetu. Nie dbam o nowy, lamówkę i galony, wyszyłam goryniem białą koszulę, wyprałam stare sukienki i ujdą. Lecz chciałabym koniecznie mieć świeżą niebieską wstążkę do szkaplerza. Ojciec i matka nie sprawią mi jej, bo nie żyją, we dworze zapłacą dopiero na Sty Michał, niema zkąd wziąć, zebrałam więc nieco kwiatów w polu, myśląc, że je dziewczęta rozkupią na jutrzejszą uroczystość.

— Cóż to za uroczystość będzie, spytał podróżny, wstając od stołu i przychodząc do dziewczyny.

Małgosia chciała odpowiedzieć, lecz wymowniejsza karczmarka uprzedziła ją, rozwodząc się szeroko z swoją wymową:

— Czekaj Małgosiu, rzekła, ja świadomsza wszystkiego niż ty; dwadzieścia lat nie darmo siedziałam na karczmie przy samym

gościńcu... a obracając się do podróżnego, dodała: w kościele proszę łaski pańskiej, będzie, jak to panu wiadomo, uroczystość Matki Boskiej, we wsi zaś uroczystość zniesienia kapników.

— Kapników? powtórzył zdziwiony podróżny, cóżto znaczy moja kobiecino?

— *Kapnik*, proszę łaski pańskiej, jestto silny parobek, bywa po dwóch lub trzech takich na plebanii; obowiązkiem ich jest przywdziewać na siebie co święto kapę z grubego płótna farbowanego na czerwono, zakrywającą twarz ręce i głowę i zaglądać z kijem do karczmy podczas nabożeństwa, czy tam nie ma pijaków, coby zamiast modlić się w kościele, obrażali Pana Boga. Skoro znajdzie takich, kijem ich wypędza z karczmy. Innym razem kapnik podczas processyi idzie koło księdza i usuwa tłoczących się koło niego.

— Dlaczegóż teraz znoszą kapników?

— Dlaczego? proszę łaski pańskiej, bo w całej wsi czysto, ani jednego pijaka. Nie ma kogo, jak sam pan widzi, wyganiać z karczmy, a lud trzeźwy umie uczcić Boga, umie się sprawiać na nabożeństwie. Jutro będzie processya bez kapników.

Ja tam na tę intencyę zakupię od Małgosi kwiaty na ołtarz, boć organista tylko co skarżył się przedemną, że na tak wielką uroczystość niema ani listka w kościele.

— Kupmy po połowie, wtrąciła karczmarka, zwracając się do dziewczyny, która z wielkiem zadziwieniem tak jej jak podróżnego, okryła koszyk chusteczką, postąpiła ku drzwiom i rzekła:

— Dobrze, żem się dowiedziała w porę, zaniosę organiście mój koszyk, szczęśliwa, że się przyda do chwały boskiej. Szkaplerz zawieszę u bursztynów, to się i bez niebieskiej wstążki obejdzie.

Po tych słowach młoda kurpianka wyszła z gospody, karczmarka i podróżny nie śmieli jej wstrzymywać w jej pobożnej ofierze i w niemem wzruszeniu patrzyli, jak szła drogą wprost do plebanii.

— To takie są, proszę łaski pańskiej, odezwała się pierwsza karczmarka, nasze dziewczęta: dobre i pobożne, tkliwe i posłuszne, roztropne i skromne, osobliwie też to Małgosiątko.

Nazajutrz zrana ze starej drewnianej dzwonicy ozwały się dzwony; Małgosia skończyła robotę i weszła do swojej izdebki przybrać się do kościoła.

Okienko izdebki było otwarte, na doniczce gieranii bujanej wietrzykiem niebieszczyła się błękitna wstążka; dziewczę stanęło zdziwione, a w prostocie swojej biorąc niespodziany podarek za cud, za nagrodę z nieba za dobry uczynek, podniosła ją radośnie.

Piękna, świeża, błękitna wstążka, w rękach młodej dziewczyny!.. wyobraźcie ją sobie, jak się splata nad czołem, układa na szyi, lub spływa po szacie, jak w licznych odmianach kokardy coraz inaczej cieniuje wdzięk i piękność młodości!

Szybko jednak przeminęła pusta radość Małgosi; odjęła wstążkę od włosów i coś myślała. Nie wiem, co myślała, ale to wiem, że idąc do kościoła i zamykając drzwi izdebki, święty szkaplerz jej wisiał na piersiach u bursztynów.

Tłum ludzi napełniał cmentarz i drewniany kościołek; organy grały, podróżny ukryty w tłumie widział pobożność wokoło. Dziewczęta cisnęły się u obrazów i chorągwi, kobiety i mężczyzni klęczeli, odmawiając modlitwę na książkach, dziatki składały ręce obok rodziców. Łzy płynęły zgłębi serc czystych, śpiewy unosiły się pod sklepieniem kościołka, i w świętem wzruszeniu nikt nie patrzył na axamitne gorsety wiejskich córek; tylko Bóg jeden widział Małgosi kwiaty w ołtarzu, jej niebieską wstążkę zawieszoną u obrazu i łzę sierocą, spadającą na murawę, na której klęczała.

Jedwabnictwo.

IV.

—

Ostatnim razem powiedziałem, jak zrywać liście z drzewek morwowych, jak przysposobić dobre oprzędy, a z nich dobre motyle, które pozostawiliśmy w parach. Komu było pilno, rozłączył je, kto zgodził się z naturą, zostawił to do jej rozporządzenia. Jakkolwiek pary rozłączone będą, samców odrzuca się, a samice przenosi na papiery lub płótno dla kładzenia jajeczek. Potrzeba uważać, ażeby samice były odległe od siebie przynajmniej na trzy cale wokoło, dla zostawienia im miejsca na obroty przy kładzeniu jajeczek. Kładą swe

jajeczka jedno przy drugiem, ale tak, że jedno drugiego nie dotyka, jeżeli samica nie jest osłabiona, bo natenczas nie mając dosyć siły na poruszanie się, kładzie je gromadnie, każde jajeczko, i uważano, że im materya jest gładsza, tem łatwiej przylepia na płótnie lub perkalu niż na materyi wełnianej.

Płótna zawieszają się nieco pochyło, żeby nieprzylepione jajeczko spadło w korytko u spodu płótna będące, i te oddzielnie w pudełkach przechować należy. Tak sama izba, w której wylęgały się motyle, z temże samem ciepłem dobra jest do kładzenia jajeczek; można jej dodać nieco więcej światła. Samice jedne zaraz kładą, inne rozłażą się i wałęsają nim kłaść zaczną; jedne mniej, drugie więcej potrzebują czasu na położenie jajeczek, zależy to już od usposobienia wewnętrznego samicy. Wogólności przez 30 do 48 godzin znoszą swe jajeczka; niektóre dłuższego wymagają czasu. Po zniesieniu, samice zaraz odrzucić potrzeba, ażeby nie zamierały przy jajeczkach. Przed rozpoczęciem tej czynności samice pozbywają się płynu nieczystego, który jajeczkom nic nie szkodzi; wszelakoż dobrze jest nieco spóźnić sadowienie ich na płótno, ażeby wprzód pozbyły się tej cieczy. Wszystkie jajeczka po położeniu są pełno-okrągławe, później zaś mają w środku z obudwu stron wklęsłość, co zdaje się pochodzić z parowania jajeczek. Stosownie do różnych ras, różna jest zmiana kolorów, w jakie przechodzą jajeczka; nawet wielkość i wielość składanych przez samicę jajeczek postępuje za rasami. Kolor jajeczek zależy od koloru wewnątrz znajdującej się cieczy, gdyż same skorupki są przeźroczyste. Przez liczne doświadczenia poznano, że kolor jajeczek byle zapłodnionych nie zapowiada żadnych następstw w ciągu życia liszki jedwabnika. Utrzymują zwykle, że jajeczka złożone w pierwszych 24 godzinach są dobre; później składane, mają być niedobre, bo wiele będzie niezapłodnionych, a robaczki z nich pochodzące podlegają chorobom i niewielki z siebie pożytek dają. Inni mniej na to zważają i nie znajdują powodów użalania się; my przy hodowaniu jedwabników z przysposobionych u siebie jajeczek uważajmy na tę okoliczność; wszak to nie przysporzy nam trudów, a powiedzieć będziemy mogli, za kim jest prawda, a przynajmniej, jaka w tem jest prawda dla naszego klimatu.

Już tedy przysposobiliśmy sobie jajeczka jedwabnicze, które na przyszłą wiosnę dadzą nam nowe pokolenie robaczków; idzie teraz o to, kiedy, jak i gdzie je przechowywać przez te niemal 10 miesięcy czasu. Z ras jedwabników, jakie zwykle dotąd hodujemy, złożone przez samice jajeczka są żółte, po tygodniu ciemnieją i następnie przybierają kolor siny; potem przechodzą w ciemnosiny-brudnawy, a po dwóch tygodniach od zniesienia przybierają kolor siwy czyli popielaty, i wtedy dopiero przystępuje się do przechowania ich przez zimę.

Płótna lub papiery, na których motyle złożyły jajeczka jedwabnicze, jeżeli są dobrze suche, zgiąć należy tak, ażeby ile można najmniej stykały się z sobą jajeczka, a powietrze do nich dochodziło; zachowane w naczynie drewniane lub blaszane przenosi się do miejsca obranego na przezimowanie. U nas dobrze jest obrać piwnicę lub lamus suchy, mogący być przewietrzanym i chłodny, lub też przeznaczyć na to izbę albo komorę wystawioną na północ, nieogrzewaną i którejby żadna ściana nie dotykała ogniska; gdyż wśród zimy nawet na chwilę ciepłem przejęte jajeczko, może poruszyć w sobie zarodek i już wtedy cofać nie można postępu tworzenia się żyjątka w jajeczku, aż do wykłucia się, co nastąpić może w czasie, gdy jeszcze drzewka nie poczęły nawet rozwijać liści, a wylęgnięte robaczki z głodu zamieraćby musiały. Zdaje się niektórym, że chociażby wyłożyć na ciepło jajeczka, a potem wprowadzić do zimna, można wstrzymać wylęgnięcie; można wprawdzie, ale gdy to ciepło nie poruszyło zarodku, a kiedy poruszy, o tem wiedzieć nie możemy. Ale to pewna, że jajeczko raz w cieple, znów w zimnie trzymane, chociażby wydało robaczka, będzie to chore, niedołężne, słabe i albo w czasie hodowania zamrze, albo bardzo nędzny zrobi oprzęd, z którego jedwab', motyl i jajeczka z niego, słowem całe następstwo nic nie będzie warte. Dlatego też gdy choć raz w miesiąc wypadnie zwiedzać, przewietrzać jajeczka, zachowane czy to na płótnach, czy też w pudełkach, odłączone od płócien przemieszywać, należy to robić w samemże miejscu przechowywania, bardzo rano lub w nocy i nie przemieszywać ciepłemi naszemi pal-

cami, ale rodzajem łyżeczki drewnianej lub metalowej. Jajeczka zwłaszcza odłączone od płócien i w pudełkach lub woreczkach nagromadzone, zagrzać się przez pewien czas mogą i poruszyć zarodek wcześniej jak potrzeba. Może paść na nie wilgoć, wda się fermentacya, a to spowoduje wyrodzenie się robaczków obcych, okiem niedojrzanych, żywiących się jajeczkami, psując je; dlatego potrzebne jest przewietrzanie. Niedawno wynaleziono przyrząd do przechowywania jajeczek na płótnie lub papierze zniesionych, a że prosty i niekosztowny, opiszę go:

Na drążku trocha dłuższym jak szerokość płótna lub papieru z jajeczkami, obsadza się na końcach dwa krzyże, także drewniane; ramiona obudwu krzyżów powinny być naprzeciw siebie. Na tych ramionach wywiercić należy dziurki o półtora lub dwa cale odległe od siebie, i przysposobić kilkanaście prętów zakładających się w też dziurki. Wtedy papiery lub płótna zszywa się w jeden niejako pas, którego brzeg przykleiwszy, lub jak kto chce, przymocowawszy do drążka, nawija na pierwsze trzy pręty najbliższych drążka dziurek, i w miarę jak wystarcza pasa, postępuje się z nowemi prętami coraz na wyższe dziurki. Tak nawinięty ślimakowatym sposobem pas z jajeczkami, uwieszony w naznaczonem do przezimowania miejscu, wolny będzie od napadu myszy, a jajeczka wygodnie przechowane będą; nawet nietrudno taki przyrząd zabezpieczyć od os lub pająków, szczelnie obwinąwszy cały odpowiednio uklejonem papierowem okryciem.

Sami zapewne przyznacie, że choćby was kilkunastu zbiegło się z papierami lub płótnami, spiąwszy je zarazem, utworzy się pas, naprzykład 10 łokci długi; przyrząd zatem, o którem powiedziałem, będzie wyglądał jak beczułka; a gdyby odłączyć od tych płócien lub papierów, wszystkie jajeczka zmieszczą się wygodnie, ot w łubowej tabakierce za 3 grosze. Więc tak zdaje się wygodniej, żeby były zebrane z płócien, a do tego chcesz kupić, zważą i powiedzą wiele kosztuje; przesyłasz jeden drugiemu, łatwiej w zwiniątku lub pudełku małem, a nawet przepłukując zebrane jajeczka, lżejsze a zatem niezapłodnione ujdą, zlewając z wodą i zostaną ze spodu same dobre. Dla zebrania jajeczek z płócien, potrzeba naprzód moczyć płótna przez kwadrans, potem skrobaczką lekko zsunąć jajeczka, następnie przemyć ostrożnie, między suchemi płótnami obsuszyć i nakonieç w miejscu zacienionem rozprowadzone na cienkie warstwy suszyć, poruszając nad jajeczkami powietrze dla prędszego schnięcia.

Z powodu tylu dogodności idących za zebraniem z płócien, dużo jest głosów przemawiających za tym sposobem, ale czy można być pewnym kupując jajeczka, że będzie z nich dobry pożytek; bo handlujący niemi dopuszczają się często nierzetelności i narażają na oczywisty zawód. Zawsze najlepiej będzie jeżeli sami przysposobimy u siebie jajeczka i pozostawimy je na papierach lub płótnach przylepione przez samicę, nie nadwerężając myciem powłoki sklniącej i gumiastej, którą samica oblokła swe jajeczka, zapewne w widokach przez naturę jej wskazanych. Chociażbyś sam z całą sumiennością, zebrane z płócien lub z płótnami własnego chowu jajeczka, przesłał znajomym, nie będą z nich mieli tyle pożytku, ile ty sam, bo zmiana miejsca i wszelka podróż szkodzi jajeczkom. Zmniejszy się to złe, jeżeli przesyłka nastąpi w pierwszych sześciu miesiącach po położeniu jajeczek, zwłaszcza w porze zimnej. Zawsze w razie potrzeby zakupienia jajeczek, wcześniej to uskutecznić należy dla przezimowania ich u siebie. Przestrzegam ażeby nie przechowywać w szkle ciemnego koloru, bo doświadczenia dowiodły, że tak przechowane jajeczka nie wydają robaczków. W miejscu przechowywania chociażby woda zamarzała, zimno nie szkodzi jajeczkom, ale im bardzo szkodzą raptowne przejścia z ciepła do zimna i odwrotnie; stopniowo zatem postępować należy, czyli to przeprowadzając do zimna dla przechowania, czyli też z przeprowadzeniem do ciepła dla wystawienia na wylęg.

Kościołek w Dubience.

—

Mieszkając w bliskości małego miasteczka Dubienki, położonego w gubernii Lubelskiej, pow. Hrubieszowskim, nad spławną rzeką Bugiem, miałem sposobność kilka razy być tutaj, mianowicie w czasie świąt Wielkanocnych.

Kościołek Dubieniecki chylący już prawie

do upadku, nie zajmie oka zbyt przyjemną powierzchownością, ale gdy wejdziesz wewnątrz, gdy zobaczysz skromne ołtarze ubrane z prawdziwym wdziękiem ręką mieszczanek Dubienki, siostr arcybractwa Różańca Sgo, gdy posłyszysz dźwięczne głosy zmieszane razem w Rożańcu, Nieszporach polskich i Mszy Stej na głosy śpiewanej, myśl twoja poczuje wtedy prawdziwą modlitwę, mimo woli ukorzysz się przed obecnością Wszechmogącego i łza gorącej, szczerej, niepojętej miłości i rozrzewnienia skropi lice twoje. Tych właśnie uczuć doznałem, gdym wszedł w drugi dzień świąt wielkanocnych podczas nieszporów do owej świątyni. Swiatło gorzało przed wielkim ołtarzem, na stopniach którego klęczał kapłan w uroczyste szaty przybrany, a w małym kościołku przepełnionym ludem, brzmiał dźwięczny głos śpiewu. Były to nieszpory popolsku śpiewane. Gdym spojrzał w około siebie, na wszystkich twarzach ujrzałem wyraz prawdziwej swobody i modlitwy, a uniesiony mimowoli prawie zgiąłem kolana i łzami gorącemi oblewałem twarz moję. Ucichły śpiewy, skończyło się nabożeństwo i lud z rzadką przykładnością i przyzwoitością wychodzić począł. Dziadek zamykał drzwi, gdym się zbliżył do niego i pozdrowiwszy zwykłém powitaniem: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*, zapytałem:

— Czy tu u was zawsze tak piękne nabożeństwo się odprawia?

— Tak, proszę pana, a wszystko winniśmy naszemu księdzu proboszczowi, bo on to dba, żeby to jakoś pobożemu jak to mówią, było. Tak, tak, proszę łaski pana, nasz poczciwy proboszcz (uważałem, że łza kręciła się w oczach kościelnego sługi) i o kościół dba, i ładne nauki powie. I niechnoby kto poszedł w niedzielę do szynku, miałby on za swoje. Nasz proboszcz i człowiekowi w biedzie pomoże, i chociaż sam biedny, ubogiego nie opuści, zapomoże i nie raz z własną szkodą. Oj dużo, dużoby to trzeba gadać o naszym księdu.

— A czy pan zna naszego proboszcza?

— Cokolwiek, odpowiedziałem.

— A to szkoda, to taki dobry, poczciwy, niech ino pan pójdzie, a sam pan pozna, co to za człowiek.

Radbym korzystać ze sposobności poznania kapłana, przez własnego parafianina w prostych wyrazach chwalonego, ale nagły interes powołujący mnie dalej nie pozwolił uskutecznić tego zamiaru. I tylko mogłem czas jakiś rozmawiać ze sługą kościelnym, z opowiadania którego kilka szczegółów godnych wiadomości publicznej dla przykładu innych kapłanów i ludu podaję.

Naprzód tedy z radością serca dowiedziałem się, że ksiądz jest prawdziwym opiekunem swojej parafii, w posługach parafialnych nie zmordowany, poprzestający na małem, usłużny dla każdego, że w naukach i przykładach budujących podaje smemu ludowi najlepsze sposoby chwaleniaPana Boga. Przykład i usiłowania gorliwego kapłana uwieńczył skutek pożądany, bo lud przejął się duchem religijnym; z radością on spieszy do kościoła, sam zaopatruje potrzeby jego niektóre, jakoto: ubiera ołtarze, swoim kosztem utrzymuje drugiego księdza w czasie wielkanocnej spowiedzi, śpiewa Rożaniec i Koronkę, całą Mszę Stą na głosy i Nieszpory popolsku. To też za to i Dubienka słynie w tamtych okolicach ze swej pobożności, i niejeden z radością wchodzi do kościoła, w którym zobaczy przykładne nabożeństwo, porządek, czystość i przyzwoitość na każdym kroku. Przykład godnego proboszcza Dubienki, nazwisko którego dobrze jest znane i poważane w okolicach Hrubieszowa, również powinien zachęcić innych do gorliwego pracowania w Winnicy Chrystusa, a przykład pobożnego ludu oby zachęcił was, poczciwi rolnicy, abyście i wy starali się o utrzymanie w sobie ducha modlitwy, abyście i wy chodzili do kościoła i o jego ozdobę dbali. Bóg wam to nagrodzi sowicie, a każdy dar na ozdobę kościoła dany stokroć On wam powróci.

Cześć kapłanowi, co starał się godnie odpowiedzieć swoim obowiązkom, cześć ludowi, który przyjmuje nauki swego nauczyciela.

Katylowie.

W powiecie Maryampolskim najdalej posuniętym ku północy dzisiejszego Królestwa Polskiego, w gminie rządowej Szumsk, w okolicy pięknemi gruntami od natury uposażonej, leży zamożna wioska zwana *Katyliszki*. Imie

tej wsi poszło od rodzinnej nazwy *Katylów*, których pradziad zapewne zakładając tu pierwszy siedzibę, i imie swe jej przekazał. Wioska ta później składając się już z kilkunastu gospodarzy i różnych familij zatrzymała jednakże pierwotne nazwisko swego założyciela, a dziś rozrzucona na kolonie, należy do gromady pod temże samem dotąd nazwaniem.

Jeszcze ukolonizowanie włościan być może w projekcie nie było i o zaprowadzeniu czynszu w miejsce robocizny dworskiej nie myślano, a przecie wieś ta, o której na początku wspominamy, chlubiła się wciąż zamożnym swym stanem, rządnością i pięknemi zaletami rolników, wogóle pomyślnym stanem jej mieszkańców.

Piotr *Katyl*, siedmdziesięcioletni starzec jest niejako głową wsi całej; jego włos biały, doświadczenie, zamożność przewyższająca dalszych sąsiadów, a życie bogobojne i trzeźwe, będące przykładem dla sąsiadów, nadają mu prawo do szacunku i poważania całej gromady. Pomimo późnego wieku, siły zachowane spokojnem i umiarkowanem życiem, dozwalają mu pracy przy pługu i cepie; sam ze świtem rusza w pole za orką lub kośbą, sam ze zmrokiem wraca na furze ładownej zżętem zbożem, sam musi wprzód własnem okiem obejrzeć spichrze, stajnie, stodoły przed nadchodzącą nocą, zanim ostatni do snu się położy.

O ile Piotr jest wzorem pracy mezkiej na roli i w zagrodzie, o tyle Magdalena jego towarzyszka od lat młodości przykładem dla kobiet w zarządzie wewnętrznym, w pobożności, wstrzemięźliwości i pracy. W bojaźni Bożej przeżyli z sobą do późnej starości, w zgodzie i przywiązaniu, w bojaźni Bożej wychowali liczną dziatwę zdrową, hożą, na okolicę słynną z krasy i dobrych przymiotów duszy. Widocznie Bóg błogosławił, bo żadna z dziewcząt nie czekała długo na swaty i raczej starzy oganiać się im musieli, tłumacząc się młodym wiekiem córek, lub przyjęciem już innej swadźby; gdyż ani Piotr ani Magdalena nie szukali zięcia bogatego pięknego, chcieli mieć go z pięknemi zaletami duszy i chociażby niebogatego, ale pracowitego, szanującego rodziców, bojącego się Boga.

Tacy ludzie pomimo mozołów, opalonych policzków, grubej sukmany zawsze zyskiwać muszą miłość sąsiadów, dobre słowo w okolicy, przychylność u panów i szacunek ludzi innego stanu. Nie brakło tego staremu Piotrowi; prawy człowiek z ochotą uściśnie rękę trudem namulaną.

Piotr Katyl rok rocznie sprasza panów i urzędników z familiami pod swą strzechę na majówkę; nikt mu nie odmawia. Piękne to są chwile dla kmiecia, gdy raczej dla jego osoby, jak dla wiejskiego traktamentu, goście owi, bawią do późna pod konarami jego lipy; kiedyś może opiszemy jeden z takich wieczorów.

A gdy wypadło wesele lub chrzciny wnuka, w jednej parze trzymali dziecię do chrztu uproszony pan z pierwszą niewiastą ze wsi, sąsiadką Piotra, w drugą jaka pani z wieśniakiem; wtedy to z cnotliwą chlubą mawiał kmieć litewski do braci: poszukajcie między sobą tak szczęśliwego chłopka, jakim ja jestem.

Piotr i Magdalena mają dwóch tylko synów, oprócz córek już zamężnych; starszy Wincenty chodząc naprzód do szkółki elementarnej i tam piękne okazując postępy, zachęcił rodziców do expensowania na dalsze nauki. W szkołach powiatowych zdolnością i pilnością przewyższył wszystkich pilnych uczniów, na których tam nie zbywało, odebrał pochwały, pierwsze nagrody i zapisany został do księgi złotej po ukończeniu czwartej i ostatniej tamże klassy. Żal było ojcu pięknie uczącego się chłopca zwrócić do roli, i przy zachęcie proboszcza oraz innych postanowił dać mu wyższe nauki, spodziewając się, iż jak dotąd, tak i dalej będzie go cieszył postępowaniem swojém. Nie zawiedli się starzy na nim; syn kmieci prześcignął wszystkich swych kolegów, po trzech latach ukończył gimnazyum z patentem, nagrodą w księgach, w złotym medalu i zapisanym będąc oprócz tego w księgę złotą. Wincenty dorósł sił męzkich, mógł teraz wybrać stan, jaki mu się podobał.

Ale jakże się zdziwił stary Piotr, gdy usłyszał od syna, iż nie chce być ani urzędnikiem, ani artystą, ani księdzem, ani uczniem uniwersytetu, na co ojciec był gotów expensować, ale go prosi nieodmiennie, by go zostawił przy sobie, przy pługu, w sukmanie! Żal

było rodzicom tylu wydatków, które im się zdawały, że napróżno ponieśli jako zbyteczne dla rolnika; żal im było, aby ich dziecię, ich chluba miało pracować jak oni w krwawym pocie, w siermiędze, za broną, siekierą. Perswadowali, przekładali, nakoniec użyli wpływu duchownych, sprowadzili całą rodzinę, aby go uprosić, iżby zaniechał zamiaru; wszystko było napróżno. Wincenty co raz postanowił, trwał już w tem nieodmiennie.

Piękne być musiały te targi między starcami a ich dzieckiem; ojcowie chcąc go widzieć na jakim wyższym w świecie stopniu i nie szczędząc na jego wychowanie, a następnie błagając, aby zaniechał ostatniego kroku, dowiedli, o ile jest drogim dla nich, i czegoby dlań nie uczynili; syn, zrzucając cienkie suknie, wyrzekając się wszystkich korzyści, jakie jego ukształcenie mu dać mogło, prosząc, aby pozwolili włożyć mu sukmanę i spożywać z nimi chleb wieśniaczy z prostego naczynia, jakże wymownie dowodził wielkiej swej miłości ku nim, szacunku dla grubej siermięgi, w której rodzice przez cały żywot chodzili, jak wysoce cenił pług, pokorę kmiecą i spokój na wsi rodzinnej!

Postanowienia Wincentego nic przemódz nie mogło; ojciec więc kupił mu w sąsiedztwie osadę, wydzielił mu część inwentarza i narzędzi rolniczych, a on przeniosłszy swe książki do wiejskiej chatki pod lasem, osiadając nazawsze, wzuł chodaki, a wilczą czapkę włożywszy na głowę, z pierwszą wiosną poszedł za pługiem po ugorze, który mu spokojem, zadowoleniem i szczęściem w jesieni miał się pochylić. Urządziwszy w parę lat swe gospodarstwo i czując w niem brak niewieściego oka, sprowadził pod ten dach córkę niezamożnego kmiecia, ale rządną i pracowitą. Dziś ostróżnie godząc tradycyjne sposoby gospodarzenia z naukowemi, daje przykład swojej okolicy, aby nie pogardzać i nie stronić od pożytecznych nowości, jakie nauka w książce podaje.

Przed kilką laty Wincenty znajdując się w interesie familijnym u pewnego prawnika, spotkał się z niedawno przybyłym professorem nauk przyrodzonych p. K. D. Z początku profesor przysłuchując się mowie zdradzającej lepsze wychowanie, przypatrywał się z ciekawością temu człowiekowi w sukmanie, lecz dosłyszawszy jego imie, rzucił się z otwartemi ramionami w objęcie kmiecia, gdyż poznał w nim nagle swego kolegę szkolnego i korepetytora, gdy uczęszczał do gimnazyum. Był to słuszny hołd człowieka, który ukończył najwyższe nauki uniwersyteckie, człowiekowi, który przełożył miłość rodzinnego zagonu nad wszystkie błyskotki życia.

Oby przykład ten wydał zbawienne owoce; jeżeli komu los dozwoli odebrać wyższe nauki i ztąd poznać świat zupełniej, sam pojmie, czyli ten uczony wieśniak roztropnie postąpił; a wy, których matki wasze mogły was tylko nauczyć wiary ojców w pacierzu codzień powtarzanym, bądźcie przekonani, iż stanu waszego nieraz pozazdroszczą ludzie niedosypiający na złocie, i ci, którym nauka snu nie daje.

W okolicy tej oprócz rodziny, która się tu przedstawiła, wiele jest innych, których synowie ukończywszy już to szkoły powiatowe, już gimnazya, powrócili na rolę ojczystą, jak: Hollakowie, Radzewiczowie, Strymasy, Runowie, Dobowie i t. d. Ci, którzy nie wracają do pługa, wybierają najczęściej stan duchowny, a po wyświęceniu kapłańskiem, są pomocą zestarzałym rodzicom, dają wychowanie kuzynom, rozdzielając zarazem braciom swej młodości najpotrzebniejszą tu na ziemi naukę, w słowie Bożem zawartą.

Dary włościańskie.

W r. 1858 w Galicyi we wsi Petlikowcach, w obwodzie Czortkowskim zgorzał kościół katolicki wraz z plebanią i wszystkiemi zabudowaniami. Właściciel wsi ofiarował się dostarczyć na odbudowanie kościoła i budynków drzewo, tak ze swego lasu, jak i zakupić brakujące. Kmiecie: wójt tameczny *Hrynko Romańczuk* dał z krwawo zapracowanego grosza złp. 2480 na sprawienie dzwonów: a *Leon Tytyń*, wójt w starych Petlikowcach obowiązał się wybudować własnym kosztem dzwonnicę na pięć dzwonów.

W druk. J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa d. 9 (21) marca 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.